

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[45]



Rosiczka.

Rośliny podobne do zwierząt. M J Z

Tytuł ten wyda się wam zapewne bardzo dziwnym; wiecie wszyscy o zwierzętach podobnych do roślin, jak na przykład korale, ale czemu roślina może się zbliżać do zwierzęcia? Gdybyśmy jednak zapytali, czém to właściwie rośliny różnią się od zwierząt, możebyście byli w kłopotcie. Ba! wiemy, że jeśli kanarek podobny jest trochę do marchewki, a motyl do bratka, podobieństwo to bardzo powierzchowne i łatwo przecież rozróżnić jedno od drugiego. Już to samo, że zwierzęta biegają, fruwają, stanowiłoby dostateczną różnicę, bo rośliny tego nie umieją i muszą siedzieć tam, gdzie wyrosną. Ale czy to niema takich zwierząt, które

także na jedném miejscu siedzą, jak gdyby tam wrosły? Nie będziemy tu przypominać korali, gąbek i wielu innych istot, mówimy teraz o roślinach i chcemy wam pokazać, że one mogą być czasem bardzo podobne do zwierząt. Nieraz też najuczciwsi ludzie bywali w niepewności, patrząc na takie dziwne twory, o których możnaby powiedzieć, że to ni zwierz ni roślina.

Powiedzieliśmy już, że najważniejszą własnością, która wyróżnia zwierzę od rośliny, jest ruch. Nawet i korale, i inne polipy, mają jakieś nieznaczne ruchy; to pewna jednak, że i rośliny mają swoje ruchy, czasem bardzo wyraźne. Czyż to nie jest już prawdziwe podobieństwo do zwierzęcia?

Nigdy może na myśl wam nie przyszło, żeby

rośliny mogły sobie sypiać w nocy, tak samo, jak wy. Jakże ten sen poznać można? zapytacie, wszak one zawsze wyglądają, jakby we śnie pogrążone. Otóż jest sposób poznać, gdy śpią rzeczywiście, bo wtedy stulają listeczki tak prawie, jak wy oczy stulacie i ręce układacie wygodnie na poduszce. Gdyby kto miał ochotę przejść się wśród nocy po ogrodzie z latarnią, obaczyłby, jak to śpiące rośliny zabawnie czasem zmieniają zwykłą swoją postać. Bób i groszek przytulają listki jedne do drugich, szczawik swoje opuszcza, jakgdyby mu ciążyły, a koniczyna i wiesiołek szczególnym sposobem je stulają, podstawą i wierzchołkiem, tworząc pośrodku wklęsłość, niby malutką kolebkę. Łubin, roślina pastewna, zresztą bardzo zbliżona do koniczyny, usypia jednak zupełnie inaczej, bo zamiast podnosić listeczki, opuszcza je tak prawie, jak szczawik. W niektórych okolicach zasiewają razem łubin biały i koniczynę czerwoną. Wśród dnia kwiaty ich tworzą przesliczny pstry kobierzec, ale po zachodzie słońca, a zwłaszcza przy świetle księżycy, można obaczyć różnicę; czerwone kwiaty koniczyny ukrywają się zupełnie w podniesionych listeczkach, do snu ułożonych, a białe wyglądają, jakby ogołocone z liści.

Znakomity botanik Linneusz pierwszy spostrzegł to osobliwe zjawisko i często wśród nocy zrywał się z łóżka, biegł do ogrodu, gdzie rozmaite rośliny hodował i podpatrywał ich sen. Nieraz też z trudnością je poznawał po nocy, gdyż zmiana położenia liści śpiącej rośliny może zmienić całkowicie jej postać. Przytém liście tak sztywnieją, że prędkiej je złamać można, aniżeli nagiąć do zwyczajnego położenia, jakie mają w dzień. Spostrzegł też Linneusz, że młode roślinki widocznie od starszych do snu się układają, a wszystkie przybierają wtedy położenie podobne do tego, jakie mają liście nierozwinięte w pąkach.

Widzicie więc, że rośliny nie są znów tak zupełnie nieruchome, jak się napozór wydaje. Te ruchy można i w dzień zauważyć. Jeżeli trzymacie w pokojach doniczki z kwiatami, musieliście spostrzedz, jak liście lubią światło i jak zawsze wyraźnie zwracają się górną powierzchnią swoją ku oknu, gdy pokój z jednej tylko strony jest oświetlony. Ja, która to piszę, będąc w waszym wieku, z wielką uciechą urządziłam sobie doświadczenia podobne. Nieraz przestawiałam i przesuwałam doniczki na wszystkie strony, a liście, ku wielkiej mojej radości, zawsze się wykręciły po swojemu i obróciły do światła. Przychodziło mi czasem nawet do głowy, że te moje roślinki muszą to być jakieś rozumne, myślące istotki, a jednak wtenczas nie znałam jeszcze czułka, ani dziwniej roślinki, zwaniej wahadlikiem indyjskim,

a nadewszystko, nie znałam jeszcze roślin mięsożernych.

O czułku, czyli mimozie, słyszeliście zapewne, a może i widzieliście kiedy w cieplarni tę szczególną roślinę, która jak dziecko rozpieszczone dąsa się za najlżejszém dotknięciem i stula listeczki, niby załęknioma. A nie tylko dotknięcie, lecz każde wstrząśnienie wywiera na nią ten sam wpływ drażniący. Pewien uczony, wioząc drzewko czułkowe w powozie, spostrzegł, że roślina natychmiast listeczki stuliła, jak tylko powóz po bruku toczył się zaczął. Potém powoli, jakby ochłonawszy z przestachu, podniosła je znowu, zupełnie tak, jak gdyby się z tym ruchem oswoiła. Nasz uczony kazał powóz zatrzymać, a gdy po jakimś czasie puścił się w dalszą drogę, roślina, jakby na nowo przestraszona, natychmiast stuliła listki i po pewnym przeciągu czasu znowu je rozwinęła, uspokoiwszy się nieco. Dla was to bardzo zabawne, nieprawdaż? a dla ludzi poważniejszych ciekawe i dziwne.

Na stepach amerykańskich czułki rosną w wielkiej obfitości i tworzą znaczne zarośla. Niechże zwierz przebiegający potrąci nadbrzezną gałązkę, natychmiast krzak cały, jakby w nerwowém rozdrażnieniu, stula liście na każdej gałązce; i nie dość na tём, bo i krzaki sąsiednie, zaniepokojone tём poruszeniem, zaczynają coperędziej stulać listeczki, i z kolei ostrzegają sąsiadów, trwoga przebiega wszystkie szeregi i po chwili całe zarośle, jakby po wzajemném ogólném porozumieniu, przedstawia jednostajny widok czułków z liściem stulonym, niby w pozycji obronnej.

W wodach stojących, na bagnach, a nawet w beczkach, w których trzymają zwykle wodę do polewania roślin w ogrodzie, można czasem obaczyć coś nakształt delikatnych włókien zielonych. Są to rośliny wodne, wodorostami zwane. Otóż wyobraźmy sobie, że przyglądamy się pilnie tym włókienkom, a że są niezmiernie drobne, więc patrzmy na nie przez szkło powiększające. I spostrzegamy, że niektóre z tych nitek mają końce nabrzmiade, nakształt woreczków lub pęcherzyków. Aż oto w oczach naszych pęcherzyki pękają jedne po drugich, a z nich wyskakują kuleczki małeńkie i zaczynają tańczyć w wodzie w najzabawniejszy sposób. Kuleczki te obrośnięte są drobnieuteńkimi włoskami, rzęsami, i wywijają niemi na wszystkie strony, niby zwierzęta łapkami. Nie długo jednak trwają te wybryki, kuleczka wkrótce się zatrzymuje, i wyrasta z niej takaż sama cicha, spokojna roślinka, jak ta, z której wyskoczyła niedawno ta swawolnica. Potém z kolei i ta nowa roślinka nabrzmieje, pięknie i wyskoczą z niej także podobne tańczące kulki, z których coraz wię-

cěj zielonych włókien się namnoży. Ten gatunek wodorostu nazywa się zrostnicą, a owe kulki, które w niej zastępują nasionka, zowią się zarodnikami. czyli sporami.

Tu także powiemy parę słów o innėj wodnėj roślinie, która niepospolitėj sławy używa u botaników i przyznać trzeba, że nie darmo. Nurzaniec śrubowaty, czyli walisnerya, rośnie w wodach spokojnych południowej Europy, w jeziorach i rzekach. Kwiaty tėj rośliny są rozdzielone, to znaczy, że jedne mają same słupki, inne znów same pręciki. O pręcikach i słupkach tyle już razy mówiliśmy czytelnikom naszego Pisma, że tu nie będziemy tych szczegółów powtarzać, ale odsyłamy ich do dawniejszych pogadank botanicznych. Kwiaty pręcikowe nurzańca otulone są lekką pochwęką i osadzone na krótkich szypułkach. Szypułką nazywamy ten rodzaj cienkiej łodyżki, na której kwiat zwykle jest uciepiony. U liści to się nazywa ogonkiem.

Otóż szypułka ta w kwiatach słupkowych nurzańca jest niezmiernie długa i zakręcona nakształt śruby. A teraz uważajcie, bo tu właśnie zaczyna się rzecz najciekawsza. Wiemy, że pyłek z pręcików musi się dostać na słupki, ażeby nasiona zawiązać się mogły; ale pyłek ten w wodzie się rozplywa i traci swoje własności dobroczynne; dla tego to rośliny lękają się deszczu, kiedy zboże kwitnie. Jakże więc sobie poradzi roślina wodna, której kwiaty na dnie jeziora są zanurzone? Poradzi sobie wybornie, obaczycie, Opatrzność czuwa nad nią.

Na ten raz jeden, na krótką chwilę, roślina wodna musi się wydobyć ze swego żywiołu, i otóż, gdy pora stosowna nadchodzi, kwiat słupkowy rozwija długą swoją śrubę, podnosi się, dźwiga do góry, aż wreszcie wynurza się z wody i kołysze na jej powierzchni, jakby na coś czekał. Nie długo trwa to oczekiwanie. Kwiaty, rodzajnym pyłkiem opatrzone, wnet wypływają także, lecz jakże zadziwiającym sposobem! krótkiej swėj szypułki nie mogą wyciągnąć, bo one na krótkiej wyrastają, więc odrywają się od niej zupełnie i swobodnie unoszą się w górę. Tu dopiero roztwierają ochronną pochwękę, którą są otulone w wodzie, wychylają pręciki i zbliżają je do kwiatów słupkowych. Tym zaś tego tylko potrzeba. Gdy już pyłek padnie na znamiona, nie mają co robić więcéj na powierzchni wody; spokojne już teraz o swoje nasiona, skręcają napowrót giętkie szypułki i zanurzają się głęboko.

Lecz cóż się stanie z temi drugimi kwiatami, które tak nierozważnie, tak zuchwale, wyrwały się na swobodę, opuszczając opiekuńczą łodygę? Te dopełniły swego przeznaczenia, już są nieużytecz-

ne, mogą więc zwiędnąć i zginąć. Możnaby powiedzieć doprawdy, że te biedne kwiateczki poświęciły życie dla dobra swojego rodu.

Dotąd widzieliśmy ruchy chwilowe, pewną przyczyną wywołane; ale poczekajcie, poznamy zaraz roślinkę, która się porusza bez ustanku i to w najzabawniejszy sposób. Wahadlik bengalski jest rośliną strąkową, ma liście potrójne, nakształt koniczyny; z tych środkowy jest wielki, dwa boczne małe i sterzące, a te ostatnie w ustawicznym są ruchu. Jeden podskakuje, drugi w tym samym czasie opada, potem z kolei pierwszy opada, drugi podskakuje, i tak raz po raz, aż póki noc nie zapadnie. Wtedy wielki liść, jakby znudzony widokiem tych ciągłych podskoków, pochyla się na dół, dwa małe zatrzymują się i sterczą nad nim nieruchomo, niby na straży.

Osobliwa ta roślina w niezbyt dawnych czasach odkryta została w Bengalu przez Angielkę, panią Monson. Zamiłowanie nauki zagnało ją w te dalekie strony, gdzie życiem przypłaciła botaniczne swoje odkrycia. Dziś wahadlik hodują w cieplarniach europejskich, a nawet i w Warszawie ciekawo mogą tę dziwną roślinę oglądać w cieplarni ogrodu botanicznego. Ale w naszym klimacie ruchy jej nie tak wyraźnie i nie tak szybko się odbywają jak pod zwrotnikowém słońcem.

Wszystko to jednak jest niczém w porównaniu do roślin mięsożernych. Już z nazwy saméj domyślacie się, że szczególne te twory roślinne, zupełnie jak zwierzęta drapieżne, karmią się mięsem istot żyjących, mianowicie muszek drobnutkich, a niekiedy i większych owadów. Okazalsze rośliny tego rodzaju przebywają w krajach gorących, i te najwcześniej uwagę uczonych na siebie zwróciły, ale i pomiędzy naszymi krajowemi odszukano takich samych drapieżników.

Może nie wszyscy nasi czytelnicy widzieli na własne oczy rosiczkę krągłolistną, przedstawioną na naszej rycinie. Roślina ta nie należy do pospolitych, przytrafia się jednak i u nas niekiedy na bagnach i torfowiskach. Niewielkie to ziółko ma liście korzeniowe obrośnięte u brzegu czerwonymi włoskami, które wydzielają płyn klejowaty. Małe kropelki tego płynu, osadzone na włoskach, błyszczą na słońcu, jakby kropelki rosy. Ztąd pochodzi polska nazwa *rosiczki*. Po łacinie nazywano ją dawniej *herba ros solis* co znaczy ziele o rosie słonecznej, gdyż wyobrażano sobie, że to zwyczajna rosa występuje na listeczkach w skutek słonecznych promieni.

Przekonano się późniéj, że płyn ten jest ostry, gryzący, a ztąd roślina ma pewne własności lekarskie. Ale dla drobnych muszek klej ten jest rodzajem pułapki. Jeżeli która usiądzie nieostróżnie na

brzegu listka rosiczki, zwabiona widokiem soku, łapki jój zaklejają się, a włoski, któremi liść jest obrośnięty, podrażnione tém lekkim dotknięciem, natychmiast się kurczą, krzyżują i przytrzymują biedną muszkę, jakby w szponach. Dawniej wyobrażano sobie, że szczątki uduszonej ofiary po pewnym przeciągu czasu wypadają z pułapki, ale okazało się całkiem co innego. Szczątki te powoli znikają, przetrawione owym sokiem gryzącym, widocznie więc pochłonięte są przez roślinę, jako pokarm.

(D. n.).

KOSZYKARKA.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

I chłodno, i głodno, i do dom daleko,
Bom zdala tu do was przybyła;
W chatynce za górą, za siódmą tam rzeką,
Ja także dzieciaczków mam siła.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

To dzieci maleńkie, tak jakby wy sami,
Koszyki te plotą w méj chacie,
I chłodno, i głodno, i smutno, ze łzami,
Wciąż plotą, a myślą o matce.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

Na książki, kluczyki, na grzyby, kwiateczki,
Przydatny wam będzie koszyczek;
Kupujcie, dam tanio, kupujcie, dziateczki,
Do książek, do kluczy, różyczek.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

Kupujcie! bo za to, co dacie mi za nie,
Ja dziatki pożywię drobniutkie;
Kupujcie! mam prostsze, i droższe, i tanie,
Mam wielkie i małe, malutkie.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

A może któremu z panienek, chłopczyków,
Też zechce się czasem pleść kosze?
Ja chętnie wyuczę wyrobu koszyków,
Za pracę będziecie mieć grosze.

Héj dzieci, dziateczki, panienki, chłopczyki,
Kupujcie koszyczki, koszyki!

M . . . a .

OBIAD ANTOSI.

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

OSOBY.

WOJCIECHOWA (*gospodyni wiejska*).

ANTOSIA (*lat 12*) } jój córki.

KASIA (*lat 9*) }

STARY DRWAŁ.

(*Rzecz dzieje się w lesie*).

Scena I.

ANTOSIA (*wbiega z niepokojem*).

Baziu, Baziu... A gdzież ona się podziała? Baziu... Ulubiona owieczka mamy... Co ja pocznę, jeżeli zginie... Ale słyhać jakiś szelest... może to i ona... (*Rozsuwa gałęzie i wygląda w stronę, z której szelest daje się słyszeć*). Ach, nie! to jakiś stary człowiek... jak on biednie wygląda, a jak idzio powoli... musi być chory... Ach! ale jaki straszny... (*chowa się za krzak*).

Scena II.

DRWAŁ (*mesze dużą wiązkę suchych gałęzi na plecach*).

ANTOSIA (*schowana za krzakiem*).

DRWAŁ (*nie widząc Antosi*).

To drzewo dla moich biednych wnucząt... nie powinnyby mi ciężyc... a jednak ledwie je dźwignąć mogę (*zmęczony rzuca wiązkę na ziemię*).

ANTOSIA (*na stronie*).

To jakiś poczciwy dziaduś... ma wnuki... ej! chyba mi nic złego nie zrobi.

DRWAŁ.

Piotruś i Marcinek czekają pewno na mnie z niecierpliwością... Głodni są biedacy...

ANTOSIA (*na stronie*).

To mi przypomina, że już czas na obiad... i mie jeść się chce porządnie.

DRWAŁ (*spogląda na niebo, zastaniając ręką oczy od słońca*).

Już południe... Zostawię chyba to drzewo tutaj, bo go dłużej nieść nie mam siły, i pójdę do nich. Tak, ale niedowidzę; jestem w głębi lasu, a nie wiem, w którą stronę się zwrócić... nie widzę ani jednej ścieżki.

ANTOSIA (*na stronie*).

Gdybym śmiała zbliżyć się do niego, tobym mu powiedziała, którądy droga.

DRWAŁ.

Spotkałem tu opodal pasące się bydło... jak nadejdzie pastuszek, to go się spytam o drogę.

Tymczasem spoczne trochę. Może zasne, to i zapomnę o głodzie... Ach! nie mój to głód dokucza mi najbardziej... *(Kładzie się, opiera głowę na wiązce drzewu i usypia).*

Scena III.

Ciż SAMI, WOJCIECHOWA. KASIA.

WOJCIECHOWA *(wola z daleka).*

Antosiu! Antosiu!

KASIA.

Antosiu!

ANTOSIA *(postępując kilka kroków w stronę, z której głos dochodzi).*

Jestem tu, matulu. *(Wchodzi Wojciechowa z Kasią, trzyma dwojaki i byżkę drewnianą. Kasia niesie kawałek chleba i kilka jabłek w koszyku).*

WOJCIECHOWA.

Jesteś nareszcie... już oddawna cię szukam... Ale jakaś ty zmęczona, jak ci gorąco... coś ty robiła, moje dziecko?

ANTOSIA *(smutno i nieśmiało).*

Ach, mamuniu, Bazia zginęła... szukałam jej.

WOJCIECHOWA.

Ależ nie zginęła. Wróciła sama przed chwilą do domu.

ANTOSIA *(z radością).*

Doprawdy? Jak to dobrze! A ja taka byłam o nią niespokojna...

WOJCIECHOWA.

Musisz być bardzo głodna. Przyniosłam ci obiad. Masz, jedz... odpocznij. A ty, Kasiu, nie trać czasu; weź się do roboty, pokaż mi, czyś już dużo u twojego fartuszka obrąbiła? *Siada na przewróconej kłodzie. Kasia podaje jej zwiniętą robotę, którą w drugiej ręce niosła. Antosia bierze swój obiad i odsunąwszy się cichutko, stawia go przy śpiącym drwalu.*

WOJCIECHOWA *(ogładając robotę Kasi)*

Nieźle... A teraz dokończ obrąbka, dopóki Antosia je obiad... Ale gdzież się ona podziała? Czemu nie usiadła przy nas?

ANTOSIA *(na stronic).*

Rzucę listek na niego... to go może rozbudzi. *(Drwal oczy przewiera).* Obudził się... Jak to dobrze! *(z niecierpliwością)* ale czemuż nie odwraca głowy?

KASIA *(sposztrzegłszy siostrę).*

Matulu, Antosia stoi tam niedaleko. Patrzcie... przygląda się czemuś przez gałęzie.

WOJCIECHOWA.

Pewno gniazdko znalazła...

KASIA *(zrywając się)*

Gniazdko! Ach, to i ja pójde je zobaczyć!

WOJCIECHOWA *(wstrzymując ją).*

Zaczekaj — kiedy nic nam o niem nie powiedziała i odeszła pokryjomu, schowajmy się przed nią. Będzie nas szukać. Tylko sza... *(chowają się za gęsty krzak).*

Scena IV.

DRWAL, ANTOSIA.

DRWAL.

Sen pokrzepił mnie trochę... ale nie zaspokoił głodu *(sposztrzeża dwojaki i koszyk).* Mój Boże, co ja widzę!... Czyżby to był sen?

ANTOSIA.

Lepiej aniżeli sen.

DRWAL.

Pan Bóg zesłał mi anioła... Zesłał go może i dzieciom moim.

ANTOSIA *(na stronic).*

Gdybym też wiedziała, gdzie mieszkają!

DRWAL *(zdejmując kapelusz).*

Dzięki Ci, Boże dobry, żeś nie opuścił nieszczęśliwego! *(Bierze dwojaki i zajada chciwie).*

ANTOSIA.

Ach! jakże to miło widzieć jak on zajada!

Scena V.

Ciż SAMI WOJCIECHOWA, KASIA *(w głębi sceny).*

WOJCIECHOWA.

Kasiu!

KASIA.

Co, matulu?

WOJCIECHOWA.

Czy widzisz tego staruszka?

KASIA.

Widzę... *(głośniej).* Ależ on je obiad Antosi!

WOJCIECHOWA.

Cicho! nie mów tak głośno. O! jaka ona dobra, ta Antosia! To prawdziwe złote serce. Będziesz ty do niej podobną Kasiu? Gdybyś mogła mi obiecać, że będziesz do niej podobną!

KASIA.

O! będę, matulu, ale i do was także.

WOJCIECHOWA.

Pójde uściskać to pocziwe dziecko. *(Idzie ku Antosi).*

DRWAL *(stawiając dwojaki).*

Teraz zjedzmy chleb i jabłka. *(Powstrzymując się).* O nie! nie, to będzie dla moich biedaków, *(kładzie chleb i jabłka do kieszeni).*

ANTOSIA.

Jakżeby też chciała pójść odwiedzić tych biednych ludzi!

DRWAŁ.

Ale komuż ja oddam garnuszki i koszyk... Ba! Zostawię je tutaj; kto je przyniósł, ten je sobie zabierze.

WOJCIECHOWA (*zbliżając się do Antosi*).

Moje dziecko drogie! Jakaż ja szczęśliwa! (*ściska ją*).

DRWAŁ.

To bieda, że tak niedowidzę, a tu las gęsty. Jak ja ztąd wyjdę? (*chce wziąć wiązkę na plecy, ale nie może dać sobie z nią rady*).

WOJCIECHOWA (*spojrzawszy na niego*).

Trzeba pójść mu dopomódz. Ale tak zróbmy, jak gdybyśmy przechodziły tylko tędy.

ANTOSIA.

Nie mówcie, matusiu, że to był mój obiad.

WOJCIECHOWA.

Dobrze, moje dziecko. Nie powiem. Ale i ty, Kasiu, siedź cicho.

KASIA.

Dobrze, matulu.

WOJCIECHOWA.

Tylko pamiętaj. Bo taka z ciebie gadulka... (*Przechodzą obok drwała*).

DRWAŁ.

Moja mameczko, czy mogę was o jedną łaskę prosić?

WOJCIECHOWA.

Czego chcecie, ojczy?

DRWAŁ.

Niedowidzę trochę i nie mogę trafić do ścieżki; wskażcie mi drogę.

WOJCIECHOWA.

A czy jesteście z daleka?

DRWAŁ (*spoglądając na wiązkę drzewa*).

Oj! nie lekka ona, nie lekka, moja matko — na moje stare plecy wszystko już za ciężkie.

WOJCIECHOWA.

Ale ja nie mówię o waszém drzewie (*zwracając się do dzieci*). Biedny starowina zupełnie głuchy. (*do drwała bardzo głośno*). Pytam się gdzie mieszkanie?

DRWAŁ.

W Tarnówce, matko.

WOJCIECHOWA.

To ztąd niedaleko, - ale droga niedobra, przez pola, po miedzach. Nie wiem, czy traficie.

ANTOSIA.

Ja go zaprowadzę, matulu. (*Do drwała*). Przeprowadzę was, ojczy.

DRWAŁ.

Bóg zapłać, moja dobra dziewczeczko; ale po-

wiedz no mi: nie widziałaś ty czasem, czy nie przechodził kto tędy?

ANTOSIA.

Czy kto przechodził? ja nie wiem. A dla czego pytacie się o to?

DRWAŁ.

Chciałbym wiedzieć, kto mi tu obiad przyniósł?

ANTOSIA (*udając zdziwienie*).

Obiad?

DRWAŁ.

Tak, podczas gdy ja spałem, ktoś tu postawił dwojaki i koszyk .. ot patrzcie.

ANTOSIA.

Nie widziałam nikogo.

DRWAŁ.

A jednak ktoś tu być musiał. Chciałbym bardzo wiedzieć, kto to taki.

KASIA.

Dla czego?

DRWAŁ.

Ażeby mu podziękować i pobłogosławić.

ANTOSIA.

Dziękujcie Bogu, dziaduniu.

WOJCIECHOWA (*do Kasi, która wzięła dwojaki i koszyk*).

Postawże to napowrót, gdzie stało. Po coś to wzięła?

KASIA.

Mówicie zawsze, matuchno, że nie jestem porządna. Chciałam też odnieść naczynie do domu.

DRWAŁ (*patrząc na Kasie i uśmiechając się*).

Domyśliłem ja się już wszystkiego, a choćbyście ukryć chciały wasz dobry uczynek, Ten, co wszystko wie i widzi, nagrodziłby wam.

KASIA (*do matki*).

Wszak to nie ja mu powiedziałam?

DRWAŁ.

Tak, Bóg nie zapomni o was. I ja niedawno oddałem przysługę potrzebującemu pomocy. Pan Bóg wynagrodził mi, zsyłając was tu, moje pocziwe dzieci.

ANTOSIA.

Cóż to takiego zrobiliście, ojczy?

DRWAŁ.

Piętnastoletni jakiś chłopiec tonął, kąpiąc się w rzece, co przez naszą wioskę przepływa. Choć to staremu już pływać nie łatwo, rzuciłem się w wodę, bom właśnie przechodził tamtędy, schwyłem go wół i wyciągnąłem na brzeg.

ANTOSIA.

O! jakże wam rodzice jego musieli dziękować!

DRWAŁ.

Ja nie zrobiłem tego, ażeby mi dziękowano, albo w chęci nagrody. Gdyby moje dzieci były w takim samym niebezpieczeństwie, chciałbym, ażeby znalazł się ktoś, coby je wyratował. Pomyślałem o tém i wyratowałem chłopca.

WOJCIECHOWA.

To wy macie dzieci?

DRWAŁ.

Mam dwóch małych wnuków... biedne sieroty...

WOJCIECHOWA.

A dobrzy chłopcy? pracowici? pobożni?

DRWAŁ.

Oj co to, to tak. Nasz dobry ksiądz proboszcz uczy ich katechizmu razem z innymi dziećmi wiejskimi. Kochają go i słuchają jego nauk. Modlą się zawsze bardzo nabożnie w kościele. Piotruś to już i do mszy służyć zaczyna... i uczyć się na książce ma wielką ochotę... Dobre dzieciaki, ale małe jeszcze, zapracować na chleb nie mogą, a mnie staremu sił już brakuje; to też nieraz i zimno, i głód cierpimy. Oj ciężko, ciężko biednym ludziom na świecie!

WOJCIECHOWA.

Nie troszczcie się, ojczu. Już ja pomyślę o tém, ażeby waszym dzieciom głód nie dokuczał. Córka moja zaopiekowała się dziś wami, ja zaopiekuję się waszemi wnukami.

DRWAŁ.

O niech was Bóg błogosławi za wasze serca złote. Pójdę, powiem moim dzieciom, jakich aniołów znalazłem. Pomóście mi, jeśli łaska, to drzewo dźwignąć.

ANTOSIA.

Ja mu pomogę, matulu.

KASIA.

I ja z tobą, Antosiu.

ANTOSIA (do drwała).

A teraz chodźmy.

WOJCIECHOWA.

A wróć się prędko Antosiu. Obiad będzie na ciebie czekać w domu, bo jeść ci się chce pewno bardzo.

ANTOSIA (z uśmiechem).

Gdybyście wiedzieli, matulu, jak mi dzisiaj mój obiad smakował! Tak chyba, jak nigdy! (do drwała) Tędy, tędy, dziaduniu. (Wychodzą).

SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M. . . a.

(Dalszy ciąg).

Ale uspokoił się natychmiast, ajrzawszy go. Zdrajca ów, który pomógł do ocalenia rybaka, ani myślał się ukrywać, był to Mały Ralf, trzymający jeszcze swe wiosło w taki sposób, iż było widoczna rzeczą, że to on niemi pomógł do gwałtownego rozskoczenia się dwóch łodzi. Śmiał się głośno Mały Ralf, patrząc prosto w oczy wodzowi, wyskakującemu z przymusowej kąpieli, a nawet śmieli się również jego towarzysze, bo w normandzkich stowarzyszeniach bratersko-rozbójniczych wszyscy byli sobie równi; nawet uznając zwierzchnictwo wodza, nikt go przecież ani myślał za wyższego od siebie uznawać.

— Al... chcesz mię rozzłościć? zaraz! poczekaj, aż ci się to uda! — rzekł Hastings do Ralfa i nagle zmieniając się, jakby nie ten sam, przyłożył obie ręce do własnego nosa, jak to zwykle czynią ze swawoli ulicznicy, urwisy mali, na całym świecie. Wszyscy rozśmieli się z biednego Ralfa, który zły i namarszczony zaciął usta, i odwróciwszy się od nich siadł i zaczął znów ruszać wiosłem niezgrabnie, patrząc na niebo i morze, jakby porównywał ich błękity.

— Dalej! do tej jedynej przystani, w której tyle statków stało, gdyśmy koło niej płynęli! — zawołał Hastings — łódź owego Beppu nie musi być wielką, czarownik nie gdzieindziej, tylko do najbliższej przystani popłynął, tam, gdzie się większe statki zastać spodziewa!

Rozbójnicza łódź pomknęła znów, jak strzała, pomimo nieczynności jednego z wiosłarzy, Hastings w milczeniu, z uśmiechem swym jadowitym patrzył na znikającą w oddali Lunę, poruszając mimowolnie z lekka ostremi zębami tak, jakby ją schrupać miał ochotę. Towarzysze spoglądali nań z pod oka.

— No — mruknął Swart do sąsiada — radbym też wiedział, coby było, gdyby kto bądź inny z nas sprawił się tak, jak Mały Ralf sprawia się za każdą sposobnością..

— Sprobnij ty, jeśliś ciekawy — odmruknął sąsiad, równie cicho — inaczej nigdy się nie dowiesz tego, co radbyś wiedzieć, bo nikt inny nie odważy się na tę próbę.

Nad wieczorem, dosięgując portu, zapelnionego licznymi statkami, rozbójnicy, wprawni do wybadywań i pytań, dowiedzieli się prędko, że

Beppo, stary rybak z Luny, przywiózł tu przed godziną zaledwie dwóch poważnych podróżnych, którzy szukali miejsca na jakim statku, natychmiast wychodzącym pod żagiel, lecz nie znalazłszy takiego, zmuszeni są dopiero nazajutrz na statku „Antonio” puścić się w podróż.

Hastings, przebrany za kupca, posunął ostrożność tak daleko, że pod pozorem szukania także środków przejazdu, wszedł na statek „Antonio”, aby na własne oczy koniecznie ujrzeć tego, kogo gonił. Jakoż ujrzął go, rozmawiającego ze starym rybakim, który stał w swój łódce, tuż przy statku. Hastings dosłyszał, jak Ansgary zwał tego starca: Beppo. Nie wypadało podsłuchiwać z bliska, ale nie ulegało wątpliwości, że Ansgary, stojący już na statku „Antonio”, żegnał się tylko ze swoim poprzednim przewoźnikiem. Przekonawszy się o tém i dowiedziawszy, że niema już dla niego miejsca na statku „Antonio”, ponieważ Ansgar ze swym towarzyszem zajęli dwa ostatnie, Hastings, dla pozorów, napróżno ofiarował dwa i trzy razy większą zapłatę i wrócił nareszcie uspokojony do swojej łodzi.

Rozbójnicy przygotowali się do odpłynięcia trop w trop za statkiem „Antonio”, z którym dopiero na pełnem morzu i wśród morskiej samotności mieli „poigrać”, jak się to u nich nazywało. Trzeba zaś wiedzieć, że na dnie łodzi było jeszcze kilku towarzyszy ukrytych. Zaledwo wszakże, rozstawiwszy czujne strażę, zabrano się do spoczynku, gdy zjawił się ktoś, szukający kupca, który pragnął popłynąć na statku Antonio. Pokazało się, że właściciel statku, znęcony wysoką, ofiarowaną mu przez Hastingsa zapłatą, poprostu zerwał umowę z ubogim jakimś człowiekiem, kazał go ze statku wyrzucić i zaprosił na jego miejsce mniemanego kupca.

— Tém lepiej — powiedział Hastings do swoich — tém łatwiej i zabawniej z nimi poigramy.

I poszedł na pokład Antonia, mijając się ze starcem płaczącym, który po długiej niewoli, wracając teraz do swoich, nie mógł się do nich dostać z powodu swego ubóstwa. Hastings spoczął w wyznaczoném dlań schronieniu, jak każdy spokojny podróżny. Statek Antonio o oznaczonym czasie podniósł kotwicę, wielka łódź, niiby rybacka a w rzeczywistości rozbójnicza, płynęła za nim, ale dając jakieś znaki i usiłując się doń zbliżyć tak skwapliwie, że dowódzca Antonia zaczął ją od razu mocno podejrzewać, a spostrzegłszy z daleka kilka innych statków znajomych, dopędził je gwałtownie i nakładając znacznie drogi, płynął dalej w ich pobliżu, dla bezpieczeństwa od podejrzanej łodzi.

W istocie zniweczyło to plany Normandów,

k którzy o jednej swój łodzi za słabi byli przeciw kilku statkom, tém słabsi właśnie, że mocno już podejrzani. To też Hastings, na widok tych manewrów i popłochu, wywołanego przez jego podwładnych, mało się nie udusił ze skrytego gniewu.

— Czy poszaleli! — myślał Hastings, rękojeść miecza ściskając ze złości — co znaczą te ich znaki, któremi zdają się mię przywoływać, i to natarczywe zbliżanie się do Antonia? Jakby naumyślnie to wszystko czynią, dla wzbudzenia podejrzeń, kiedy ja nakazałem im płynąć zdaleka i spokojnie, dopóki hasła zwykłego nie dam!

I tak myśląc, Hastings zachował się sam spokojnie i podzielał trwogę ogólną przed ścigającą ich łodzią, bo tak kupcowi zachować się wypadało. Straciwszy na takich manewrach cały długi dzień i nie mogąc płynąć już dłużej wraz z innymi statkami, dowódzca „Antoniana” w obawie, czy gdzie więcej zaczajonych podobnych łodzi nie spotka, skręcił nagle z drogi i schronił się do najbliższej małej przystani. Tu, czując się bezpiecznym, wszyscy przypatrywali się tém ciekawiej podejrzanej łodzi, która zatrzymała się także, jak mogła najbliżej, do portu jednakże nie wchodząc. Ta ogólna zwrócona na nią uwaga do reszty rozłożyła Hastingsa, gdyż przeszkadzała mu do jakiegokolwiek porozumienia z podwładnymi.

Tak przetrwano krótką noc letnią, wzajem zdala patrząc na siebie. W owych czasach rozboje morskie szerzyły się tak groźnie, że twoga osady była bardzo naturalną, a dowódzca, widząc się jawnie i uporczywie ściganym, bał się z portu wypłynąć. Dopiero nazajutrz rano, gdy znów wszyscy wylegli na pokład, pytając się wzajem, co czynić i patrząc na łódź rozbójniczą, Hastings zaniepokoił się jakoś, nie widząc Ansgarego między otaczającymi go pasażerami, a gdy jeszcze bystro spojrzawszy w swoją łódź, dojrzał w niej małego Ralfa, trzymającego się za boki od śmiechu, wtedy wprost już zapytał o Ansgarego, udając, że ma do niego interes. Zaczém dowiedział się, że Ansgary, widokiem rozpaczy owego starca ze statku wyganego wzruszony, oddał mu swoje miejsce, zakupione już na tym statku, a sam ze starym Beppem na kilka godzin przed „Antoniem” kędyś popłynął. Gdzie? niewiadomo, bo trudno było przypuszczać, aby małą łódką rybacką odważył się rzucać na pełne morze.

Hastings nie słuchał przypuszczeń; szalejąc w sercu ze złości, ale spokojny na pozor; ułożył się z dowódcą i wysiadł na ląd, mówiąc, że ma w porcie interesu. W pierwszym lepszym zaułku, zdjąwszy zwierchnie odzienie, przemienił się w rybaka, wskoczył do swój łodzi, która na znak dany przybliżyła się do brzegu w odległym od przystani

miejsu, i puścił się na pełne morze, uwalniając nareszcie biedny okręt od słusznej aż nadto trwogi. Ralf jednakże i teraz napróżno pokładał się od śmiechu w oczach wodza, który, jak nad władnymi, tak i nad sobą, samym dzielnie umiał panować. Hastings poklepał go po ramieniu i zwrócił się do innych, pytając:

— A co? czy nie czarownik? — a na to Ralf, jakkolwiek poganin, przecież z przekory jedynie odpowiedział:

— A może i nie, tylko dobry; i dla tego mu się szczęści. — Ale nikt na te słowa nie zważał i Ralf sam nie wiedział, że powiedział prawdę. Tymczasem Swart opowiedział wodzowi, jak oni natychmiast dowiedzieli się o odjeździe Ansgarego z Bepem i wszelkimi siłami, lecz napróżno, chcieli zawiadomić o tém wodza. Dla tego to gonili jawnie za statkiem „Antonio”, narażając się na pozbawienie zapowiedzianego „poigrania” z nim, byle zwrócić uwagę wodza i nie dać przez to Ansgaremu zyskać na czasie. Gdyż wiedzieli dobrze, że żaden łup na świecie nie będzie miłszym od niego Hastingsowi. Tymczasem wszystko poszło na opak; a biskup, nietylko zyskał ogromnie na czasie, ale nawet nie było teraz wiadomo, gdzie się właśnie udał.

— Do domu! — zawołał wódz — po drodze chwyci się, co się spotka, a jak trafi się jaka dobra *igraszka*, to wszakże nasi po *chatkach* gotowi są do zabawy?

— Gotowi! — potwierdzili towarzysze i łódź mknęła po swojemu z Śroziemnego morza na Atlantyk, kierując się ku północy.

Chatkami nazywał Hastings rozmaite wśród dzikich morskich skał przystanie i zaułki, w których pourządzał on dla swych łodzi i ludzi liczne, a dobrze utajone schronienia, wzdłuż całej części

Atlantyku i Śroziemnego morza, koło europejskich wybrzeży, po którym to *gościńcu* swoim, jak go nazywał, rozbijał on najokropniej. Zazwyczaj liczne jego łodzie, długie, zwinne, wysmukłe i mocne, stały w owych „*chatkach*” spokojnie, ale go-



Koszykarka (str. 708).

towe na hasło dniem i nocą. On wypływał z *domu* swego, to jest z owego grodu, czy zamku skalistego na wybrzeżu południowej Skandynawii. Wypływał tak, jak go widzieliśmy na wyprawie do Luni, po Ansgara, na jednej, takiej jak inne ło-

dzie, z kilku swymi towarzyszami nieodstępny, rozbijając po drodze spotkane statki kupieckie i przewozowe.

Jeżeli sprawa była małoważną, to ją załatwiał sam ze swoimi, a gdy potrzebował pomocy, to na straszny, przeciągły, a brzmący ryk znanej jego trąby, lotem przybywały mu na pomoc z jego *chattek* ntajone łodzie i ludzie. W razach ważniejszego i z góry obmyślanego rozboju, urządzał on się umyślnie „na postrach”, wiedząc dobrze, że przestraszonych obywateli ludzi. Wtedy wsiadał on na łódź, przystrojoną także umyślnie naksztalt potworu morskiego, niezgrabnie i potwornie oczywiście, ale tęp strasznie wyglądającą. Towarzysze jego i on sam przywdziewali czapki, zrobione z łbów różnych potworów morskich i lądowych, i różne skóry zwierzęce. Takie łby z powyszczerezanymi kłami wyglądały istotnie okropnie, a obok tego chroniły doskonale głowę od cięcia. Rozkazy wydawał przez straszliwie ryczącą trąbę.

Ztąd powstawały przerażające bajki o Wilkołaku zaczarowanym, obrachowane na postrach, służący Hastingsowi niby za przednią straż, która mu drogę uprzętała i zdobycz oddawała w ręce. Zresztą bajki te rozpuszczał nie kto inny, tylko on sam i jego towarzysze. Bo zresztą strzegł on najmocniej, by nigdy ani jednej z napadniętych ofiar swych nieszczęsnych nie pozostawić przy życiu, a to dla tego, żeby nie poznano kiedy przypadkiem straszliwego Wilkołaka w pocziwym jakim kupcu takim, jak pan Halm, albo w jakim strojnym, a układnym i pięknym księciu, tańczącym z królewiami na królewskich zamkach, albo w prostym rolniku, lub rybaku spokojnym; bo Hastings wszystkie te postaci umiał wziąć na siebie i w każdą zaszyć się skórę. Dla tego też we wszystkich o nim bajkach to jedno było największą prawdą, że na kogo spojrzal Wilkołak, ten zginąć musiał: z tym wszakże dodatkiem, że nie wzrok jego zabijał, lecz miecz niechybny; a zabijał nie tych, na których wilkołak spojrzal, ale *tych* właśnie, którzy *na niego*, choćby raz jeden, spojrzeli; z takich żaden tej chwili nie przeżył z pewnością.

W takich to warunkach i w taki sposób *igral* Hastings po morzach, od Bałtyku zacząwszy, przez Atlantyk, aż po Lunę, miasto w Italii. W mieście tęp jednakże Hastings był po raz pierwszy dopiero w czasie tej chybionej po Ansgara wyprawy. Niepowodzenie to wynagrodzili sobie doskonale rozbójnicy w czasie powrotu do domu, gdyż trafiło im się kilka znakomitych rozbojów. Wódz Wilkołak był w tych strasznych *igraszkach* okrutniejszym jeszcze na ten raz, niż zwykle. Towarzysze szeptali, że mści się za chybioną ową wyprawę na nieszczęsnych spotkanych ofiarach i spoglądali

nań z pod oka, a drżeli nawet i oni na straszny ryk jego trąby, straszniejsze jeszcze głoszącej rozkazy... Szeptali także między sobą towarzysze, że wódz, przyjrząwszy się z bliska miastu Lunie i opuszczając je następnie, miał powiedzieć:

— Luno, Luno! bogate ty jesteś miasto! zobaczymy się jeszcze ze sobą!...

I uśmiechał się przytęp po swojemu tak dziko ostremi zębami, że towarzysze wnosili ztąd o bliżkiej a korzystnej do bogatej Luny wyprawie, dzielnie a chytrze urządzonej tak, jak Hastings umiał, a więc niechybnej; bo z jednym tylko Ansgarem nie udało się Hastingsowi i to przeciep tylko skutkiem czarów, jak zabobonni i ciemni Normandowie sądzili.

Narozbijawszy tedy okropnie po drodze i porozmieszczawszy zdobycze po składach w *chatkach*, bo niepodobna było przeciep wszystkich tych niezmiernych łupów zwozić do grodu na skałach nadbałtyckich, już się do tego grodu zbliżała łódź Hastingsa, gdy Swart oznajmił wodzowi jeszcze jeden mały statek, uczciwie wyglądający, a więc tęp bardziej, bo łatwiej nadający się do rozboju. Wszyscy rozbójnicy byli już na ten raz tak syci walki i tak nią nareszcie znużeni, że nie mieli ochoty na najłatwiejszą nawet zdobycz. Hastings, spoczywający na futrach w głębi łodzi, nawet nie wstał przyjrzeć się statkowi, podniósł tylko z lekka głowę, wspierając ją na ręce, spojrzal niedbale na ów statek i rzekł ziewając:

— Biedota to jakaś; ale nie można puścić, bo taką już mam, jak wiecie, zasadę. Swart mię wyręczy.

Swart zawsze w podobnych drobiazgach wyręczał wodza, który pewny wprawy swych wychowawców w rzemiośle, opuścił się znów leniwie na futra, i nie ruszał się wcale z miejsca przez czas trwania rozboju, z którym Normandowie załatwili się żwawo i gładko, mimo znużenia.

Już ostatnia z ofiar, siwy, krzepki starzec, miał pójść na dno z pod noża mordującego go Swarta, gdy jednym tygrysim skokiem Hastings znalazł się przy nim i wydarł starca z rąk rozbójnika — starzec ten, był to Ansgar! płynący swoim zwyczajem na nową apostołską wędrówkę wybrzeżem Bałtyku, a nieznanym nikomu z rozbójników, prócz Hastingsa.

W parę godzin później przybyli oni do grodu i dziwna odtąd zaszła w ich zwyczajach odmiana. Hastings, który dotąd dowodził w każdej, zwłaszcza ważniejszej wyprawie, teraz zdał rozboje na Swarta, sam jedynie z Ansgarem zamknięty. Nie znaczy to jednakże, aby miał się tajemnicą jakąś od towarzyszy oddzielać, bo to żadnym sposobem wśród braterstwa rozbójniczego być niemogło;

znaczy tylko, że w napowietrznym prawie swym zamku skalistym, usadowiwszy tuż przy sobie Ansgara, nie oddalał się prawie od niego, na ciągłej z nim trwając rozmowie.

O czém mówiono, słyszeli wszyscy, kto chciał, z towarzyszy, a raczej każdy, kto mając coś do pomówienia z wodzem, wchodził do jego izby; bo zresztą nikt nie ośmieliłby się doń zbliżyć bez istotnej i koniecznej potrzeby, tak umiał Hastings krzepko a dzielnie trzymać wodze rozbójniczej bandy, acz prawa rozbójnicze i stary zwyczaj normandzki najzupełniejszą równość utrzymywały między towarzystwem. Najdokładniej jednakże, choć nie z dobrej woli, musiał się przysłuchiwać owym rozmowom Mały Ralf, nieodstępny od wodza z jego stanowczej woli. To też Ralf najpierwszy nazwał przed towarzyszami owe rozmowy *męczarnią*, wynalezioną przez okrutnego wodza umyślnie, na jaknajwiększe udrczenie Ansgarego.

— Bo gdyby tak na mnie — mówił Ralf — to wolałbym sto razy roztrzaskać głowę, zeskakując z tego szczytu na te skały, niż znosić takie dziwne udrczenia. Pewny teraz jestem, że ten Ansgar nie jest czarownikiem, bo gdyby nim był, toby dawno zrobił wszystko, czego Hastings żąda, byle się raz to już skończyło z tym targiem.

Tak mawiał Mały Ralf i wszyscy towarzysze przyznawali mu słuszność. Hastings tymczasem robił swoje, co sobie już widać dawno na Ansgara ułożył. Celem jego było zjednać sobie potęgę czarodziejską, którą sądził, że Ansgar posiada, a to ku odzyskaniu przez nią tego, co przez nią utracił, jak był przekonany: kruszwickiego księstwa mianowicie. Brał się ku temu Hastings na najrozmaitsze sposoby, zachodził ze wszystkich stron; Ralf widział dumnego wodza, zniżającego się przed Ansgarem do próśb najpokorniejszych, a za chwilę grożącego mu najwymyślniejszymi męczarniami. Z samego początku jednakże od tego zaczął, że go próbował przekupić, mając jak widać największe w tym śródkiem zaufanie. Oprowadził on swego więźnia po ogromnych składach swoich, napełnionych bogactwami tak niezmiernymi, że trudno ich było nawet ocenić.

— Patrz! — rzekł — to wszystko jest twoje! wskaż tylko, gdzie ci to dostawić; łodzie moje, których mam bardzo wiele, przewiozą ci to wszystko natychmiast, a ty wtedy dopiero opuść tego służalca mego, starego Piasta i tego niedołężnego Siemowita, i stań po mojej stronie. Jak ty zechcesz, to cały naród Polan, odrzuciwszy nędznych Piastów, obróci oczy na mnie, odrośl starego pnia ich książąt. A gdy posiędę napowrót dziedziczną własność moją, będę ja lepiej dbał o ciebie, niż dzisiaj dba Siemowit, któregoś czarami na tron

mój wyniosł. Nie będziesz wtedy musiał tak tułać się po świecie, jak tułasz się teraz; ja ci dam gruntu ile sam zechcesz, i zamków, i uczynię cię pierwszym po mnie samym, w całym państwie!

Tak próbował przekupstwa Hastings, i podwajał, i potrajał cenę, w tém głębokiém przekonaniu, że Ansgar targował się tylko. Miał wódz-książę rozległe zamiary; dziedzictwa swego potrzebował tylko na początek, tylko po to, aby miał na czém ostać się na lądzie, jak się wyrażał, ale następnie chciał zawojować wszystkie spokojne plemiona słowiańskie, pobratymcze Polan i złączyć je w państwo tak wielkie i potężne, jak to, nad którym na morzach już panował. Przyrzekł nareszcie połowę tego państwa oddać Ansgaremu i szanować go jak ojca.

(D. c. n.).

Listy z Podola i Odesy.

Poświęcone pilnej i roztropnej Marylce,
przez Waleryą Slacherską.

(Dalszy ciąg).

LIST IV.

Dzisiaj Niedziela, późno już bardzo, ale powróciłam z miłej przejażdżki, którą ci, droga Marylko, opisać zamierzam. Wybraliśmy się powozem do Małej Fontanny. Jestto ulubione miejsce, w którym mieszkańcy Odesy zbierają się bardzo licznie, tak we święta, jako też i w dni powszednie, o kilka wiorst za miastem. Kąpiel urządzona tutaj doskonale, a miejscowość prześliczna, zasiana willami, z których jedna piękniejsza od drugiej. Ta, którą dzisiaj zwiedzaliśmy, należy do pana D. i jest prawdziwie uroczem ustroniem. Zbudowana na wyniosłości, z prześlicznym ogrodem, w którym mnóstwo pięknych kwiatów i rzadkich krzewów, z czarującym widokiem na morze.

Było właśnie ku wieczorowi, zachodzące słońce złościło fale wody, jak okiem zasięgnąć, wszędzie morze mieniące się w różne barwy, kilka statków zdążyło ku przystani. Wieczorem zesłiśmy do ogrodu, gdzie puszczano sztuczne ognie; najpiękniejsze były te, które palono na łodziach; gwiazdy, węże ogniste, zdawały się wynurzać z fal morskich, a wznosząc się wysoko, spadały pomiędzy skały nadbrzeżne, nadając im fantastyczne kształty.

W przyległej do tejsze willi, wśród tarasu, stoi ogromny maszt, który zwrócił uwagę moją; pytałam o znaczenie tego pomnika i dowiedziałam się, że go postawiła wdzięczność synowska. Pewien cieśla okrętowy dorobił się zdolnością i pracą du-

żego majątku, tak, że dzieciom swoim zostawił znaczne dziedzictwo. Po jego śmierci, synowie wzniesli mu ten maszt, jako dowód miłości i wdzięczności. Mają to być ludzie bardzo dobrzy, pracowici, przemyślni, sądzę też, że życiem swoim uczciwem składają najwyższy hołd pamięci swego ojca.

Dobranoc, droga Marylko, pewnie już śpisz na dobre, jest w pół do pierwszej, przesliczna noc księżycowa.

LIST V.

Zwiedziłam muzeum starożytności, w którym wiele zajmujących rzeczy widziałam i dzielę się z tobą tym, co mi w pamięci utkwiło. Jest tutaj mnóstwo wykopalisk greckich, posągi, marmury, przesliczne amfory; egipskie sarkofagi z hieroglifami, asyryjskie bransolety, paciorki, pierścienie, zbiór piękny monet i medalów, także wykopaliska z Herkulanum i Pompei. Muzeum to, otwarte bezpłatnie dla publiczności, jest porządnie utrzymane, ale wstęp dla dzieci wzbroniony, a szkoda, bo ucząc się młodzieży możnaby właśnie wiele ciekawych przedmiotów, odnoszących się do historii państw starożytnych, pokazać. Są także tutaj zbroje żelazne z nowszych czasów, buńczuki tureckie, sjadaki ze strzałami tatarskimi. Między portretami znakomitych ludzi jest portret Richelieu'go i Langerona, założycieli i dobroczyńców Odesy. Byli to Francuzi, wychodźcy po rewolucyi francuzkiej r. 1789. Po opuszczeniu swego kraju poświęcili swoje usługi Rosyi i Richelieu mianowany był gubernatorem Odesy r. 1803. Od tego też roku rozpoczyna się wzrost tego miasta, które przedtem było lichą miściną. Na bulwarach stoi posąg Richelieu'go. Jestto ulubione miejsce przechadzki mieszkańców Odesy, ztąd otwarty widok na port i na morze.

Pierwszy raz widziałam tutaj platany, które, jak mi mówiono, sprowadzono umyślnie z Marsylii. W kościele katolickim jest wspaniały nagrobek hrabiego Langerona, z białego marmuru; po powrocie Richelieu'go do Francyi, Langeron mianowany był gubernatorem Odesy. Jedna z ulic nosi jego imię, także zakład kąpielowy, o którym wyżej wspominałam.

Właśnie co tylko powróciłam ztamtąd, ale dzisiejsza kąpiel, przy całej przyjemności, jaką mi sprawiła, zmęczyła mnie trochę. Morze było bardzo wzburzone, a pomimo odwagi i ochoty, z jaką szłam do wody, wyszłam z niej prawie bez tchu. Do dziwnych kaprysów morza należy i ten policzć, że siła bałwanów nie jest jednakową; pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, są nierównie słabsze od

piątego i szóstego, których siła i szum są rzeczywiście zastraszające. Osoby obeznane z temi tajemnicami, czatują, by wskoczyć w wodę w tęg właśnie chwili, kiedy szósta fala przechodzi, po niej następuje chwilowe ucieszenie, z którego trzeba skorzystać. Naówczas kołysanie wzburzonych fal jest nadzwyczaj przyjemne, nie trzeba tylko opierać się prądom, ale raczej unosić się z niemi; ułatwia utrzymanie równowagi lina, która jest przymocowana do schodów i których trzymać się trzeba w takich razach. Dzisiaj nie zdołałam wskoczyć przed nadejściem najsilniejszych fal, które pomimo tego, że się uniosłam, z taką siłą uderzyły we mnie, że mi zupełnie oddech zapały i ledwie miałam siłę wyjść potem z wody. Dziwię się też niezmiernie, że tutaj niema ani jednego kąpielowego, któryby w takich razach, już to dla bezpieczeństwa, już to dla istotnej potrzeby, był pod ręką. Dzisiaj połowa pań, z powodu braku odwagi nie kąpała się, te zaś, które weszły same do wody, koniecznie do odważnych zaliczyć trzeba. Niema też w pobliżu ani jednej łodzi ratunkowej, któraby w razie niebezpieczeństwa przybyła na pomoc. Dwa lata temu dwie młode panienki utonęły w taką właśnie falę, sądzę, że to powinno być dostateczną pobudką do wprowadzenia środków bezpieczeństwa; powinni by o tęg pomyśleć ci, którzy utrzymują ten zakład.

(D. n.).

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Okręt tymczasem zawijał do portu, podpływały łodzie, które miały pasażerów na ląd wysadzić.

— A teraz do dzieła! — zawołał Jakób — śpieszmy co żywo do konsulatu francuzkiego, i oby jaknajprędzej rozpoczęto poszukiwania, a może Bóg pozwoli, że odszukamy Henryka.

Ze wszystkich portów wschodnich, Aleksandrya najwięcej jest zbliżona do miast europejskich. Założona przez Aleksandra W. za czasu Ptolomeuszów, Aleksandrya tak się wzniosła i wzbogaciła, że budziła zazdrość Rzymu, który był wówczas stolicą świata. W VII wieku po Chrystusie piękne to miasto egipskie liczyło jeszcze kilka milionów mieszkańców i mieściło w czteromilowym obrębie swych murów czterysta teatrów, cztery tysiące pałaców, cztery tysiące łaźni, dwanaście tysięcy sklepów. Dziś z tego dawnego przepychu niewiele śladów pozostało. Siewpacz Mahometa wszystko w perzynę obrócili. Wiadomo, że gdzie tylko

przeszły te barbarzyńskie hordy, wszędzie pożogę i zniszczenie niesły z sobą.

Aleksandrya po kilka razy była odbudowywana. Obecnie posiada nawet piękne hotele, wygodnie urządzone na sposób europejski. Bogaci kupcy angielscy, włoscy, niemieccy, francuzcy, mają tam znaczne składy handlowe. Tragarze, którzy się po ulicach uwijają, mówią rozmaitemi językami europejskimi. W porcie powiewają na statkach flagi wszystkich cywilizowanych narodów, to też po ulicach miasta spotyka się co chwila modne ubiory paryzkie i londyńskie.

Załatwiwszy sprawę swoją w konsulacie francuzkim, podróżnicy nasi poświęcili dzień cały na zwiedzanie miasta; nie mogli jednak tak prędko obejrzeć wszystkich jego osobliwości, postanowili więc pozostać tu dłużej i znowu na czas jakiś rozstać się z Kormoranem.

— Moje dzieci — rzekł Jakób — niech sobie okręt płynie dalej, a my pójdziemy pieszo do Kairu.

W parę dni później, o wschodzie słońca, wędrowcy nasi wyruszyli w drogę, zabrawszy z sobą niezbędne zapasy podróżne i wkrótce dotknęli stopą piasków pustyni, krocząc brzegami Nilu.

Piekna jest ziemia egipska, lecz podróżnicy, którzy ją zwiedzają, narażeni są na różne niebezpieczeństwa. I stary Jakób, i obaj młodzieńcy, dobrze byli uzbrojeni, każdy niósł na ramieniu karabin nabity na wszelki wypadek, czy to dla odparcia drapieżnych zwierząt, czy straszniejszych jeszcze Beduinów rabusiów, którzy czatują wszędzie na Europejczyków.

— Ja najpierw będę tępił bez miłosierdzia krokodyle nilowe i wszelkie płazy — rzekł Robert.

— A czy tu niema czasem hipopotamów w tym kraju? — zapytał Marek.

— Zwolna, zwolna, moje dzieci — odezwał się Jakób — nie wyobrażajcie sobie znowu, że w Nilu roją się krokodyle i inne przeróżne wodne potwory. Hipopotam rzadko kiedy się pojawia w tej rzece, przynajmniej w północnej części Egiptu; ażeby się z nim spotkać, trzeba się zapuścić dalej w głąb Afryki.

Nie uszli jeszcze i kilkuset kroków od miasta, gdy Marek zwrócił uwagę towarzyszy na jakąś istotę żyjącą, która się ukrywała wśród sitowia. Robert, nie wiele myśląc, podniósł strzelbę i wymierzył.

— Stój, młody cudzoziemcze! nie popełniaj świętokradztwa, nie zabijaj świętego ptaka!

Podróżnicy zdziwieni zwrócili się w strouę, z kąd się dała słyszeć ta przestroga, w języku francuzkim wymówiona, i ujrzeli człowieka w białym

zawoju na głowie i zielonym kaftanie. Był to starzec z długą białą brodą, siedział w głębi dołu wykopanego w pobliżu drogi, przy nim stało kilka naczyń glinianych, których kształt przypominał zupełnie starożytne amfory. Widząc zbliżających się Europejczyków, przemówił do nich po francuzku; władał bardzo dobrze tym językiem.

— Patrę na was od chwil kilku — mówił dalej — i spostrzegłem, że ten młodzieniec chciał zastrzelić ibisa rzecznego, a ibis jest ptakiem świętym. Moglibyście ciężko odpokutować podobne świętokradztwo. Niejeden zabobonny Egipcjanin pomściłby srogo taką krzywdę.

— Jakto! — rzekł Robert zdziwiony — czyż ibis nilowy jest i dziś czczony w Egipcie tak samo, jak za czasów Herodota?

— Nieinaczęj. Ale czyż piękny ten ptak nie zasługuje na to, aby go kulki myśliwych szczeniły? Patrzcie, co to za dziób; ile to płazów, ile węzów jadowitych i szkodliwych owadów pada pod ciosami tej broni, która przecina najtwardsze łuski, jak ostrze stalowe. A jednak ibis dla innych stworzeń jest pełen łagodności i z ludźmi łatwo się oswaja.

Podróżnicy nasi nie mogli się wydziwić, że człowiek ten tak dobrze znał ich język, a on, spostrzegłszy to, mówił dalej z uśmiechem:

— Nie pojmujecie zapewne, jakim sposobem Afrykanin może tak dobrze mówić po francuzku. Zaraz wam to wytłumaczę. Dawno, bardzo dawno, byłem wówczas dziesięcioletniem chłopczykiem, huk straszliwy dał się słyszeć w tych stronach; był to huk armat, wojsko francuzkie zdobywało Aleksandryę. Ojciec mój, fellah tutejszy, ubogi rybak, nie sprzyjał wcale beyom Mameluków, którzy kraj nasz zawojowali, a mieszkańców uczynili swoimi niewolnikami. Rzekł on do mnie: „Ibrahimie, oto nowi cudzoziemcy, Francuzi, przybyli do naszej ziemi; ale nas to nie powinno obchodzić, bo i ci, którzy obecnie panują nad nami, są także obcymi przybyszami. Siedzmy więc cicho, nie mieszajmy się do niczego, nie mamy powodu przeszkadzać Francuzom”. Nie tak to jednak było łatwo. W kilka dni później wojsko tędy przechodziło, żołnierze pochwycili przemocą ojca i kazali mu być przewodnikiem. Obchodzili się z nim bardzo łagodnie, a mnie wziął do usług generał głównie dowodzący. Pamiętam go doskonale. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, szczupły, błądy, miał długie włosy, spadające na ramiona, oczy błyszczące i przenikliwe, ruchliwy był niezmiernie, ubiór jego odznaczał się wielką prostotą. „Trzeba tego chłopca wyuczyć po francuzku“ rzekł do swojego adjutanta; i wnet jeden z uczonych ludzi, którzy tu przybyli w orszaku generała, wziął mię

w swoją opiekę i ciągle ze mną rozmawiał. Nic więc dziwnego, że tak dobrze mówię waszym językiem.

Ibrahim był widocznie wielkim gadułą, chociaż skłonność ta rzadką jest bardzo na Wschodzie. Po chwili milczenia westchnął głęboko i mówił znowu:

— Ach! gdyby ta wyprawa Francuzów w naszym kraju była się lepiej powiodła, byłbym się i ja doczekał pewnie świetnego losu. Ale Allah i Prorok inaczej rozrządzili. Generał głównodowodzący opiekował się mną przez cały czas, póki pozostawał z wojskiem w Egipcie, ale gdy odplynął do Europy, musiałem powrócić do dawnego ubóstwa. Żeby zarobić na skromny kawałek chleba, zacząłem się trudnić sprzedażą wód.

— Sprzedają wód? — zawołał Robert zdziwiony — cóż to znowu za szczególny handel?

— Jest to prawie toż samo, co u was handel win. U nas niewolno używać żadnych mocnych trunków, wszyscy więc muszą pić wodę. Tu w Egipcie mamy źródła wyborne. Na stołach bogaczy podają zwykle wodę rozmaitych gatunków, według upodobania gości: wodę ze źródeł Nilu, z wodospadu Nilu, zwyczajną wodę nilową, wodę ze skał libijskich itd. Jest także woda przechowana z przeszłego i zaprzeszłego roku w butelkach, starannie zakorkowanych i smołą zalanych.

Po chwili, chcąc zapewne dać cudzoziemcom jaknajdokładniejsze wyobrażenie o swoim przemyśle, dodał:

— U nas na Wschodzie nikt nie pogardza gościnnością, choćby i uboższego od siebie. I wy, panowie, nie odmawiajcie mojej prośbie i wejdźcie do ubogiego mego domku, który stoi tam oto niedaleko, wśród palmowego gaju. Za czasów Faraonów, ten odłam starego muru należał do wspańskiego pałacu. Jest podanie, że się w nim chował pod opieką córki Faraona hebrajski młodzieniec, Mojżeszem zwany. Dziś w tych zwaliskach znalazł schronienie biedny fellah, sprzedający wodę.

Mówiąc to, wyjął ze swojego dołu jedno z naczyń glinianych w kształcie amfory.

— Sprobujcie, proszę, mojej wody — rzekł — musicie być spragnieni.

— Cóż to za wyborna woda — mówili wszyscy, ugasiwszy pragnienie.

— Zanim pójdziemy do mojego mieszkania — rzekł Ibrahim — spoczniście tu w tym schronieniu, które jest wybornie zabezpieczone od upału.

Nasi podróżnicy chętnie na to przystali i zeszli po schodkach do dołu, zagłębionego w skałę, nakształt jaskini. W rzeczy samej było tam bardzo świeżo, jakby w piwnicy, a gospodarz przyjmował ich z wielką uprzejmością. Najpierw zyczajem wschodnim ofiarował im fajki; młodzieńcy

odmówili, ale Jakób przyjął z przyjemnością i znowu się rozpoczęła rozmowa w języku francuzkim.

— Widzę — rzekł Ibrahim — że młodzi panowie lubią polowanie. Jest to upodobanie bardzo właściwe ich wiekowi.

— Możeż być większa przyjemność? — rzekł Robert.

— Otóż posłuchajcie. W naszym kraju niewolno jest wprawdzie zabijać ibisów, ale nie brakuje tu innej zwierzyny. Czy nie mielibyście ochoty naprzykład zapolować na krokodyla?

Młodzieńcy spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

— Widzę — rzekł Ibrahim z uśmiechem — że i wy, tak jak wszyscy Europejczycy, wyobrażacie sobie krokodyla straszniejszym daleko, niż jest rzeczywistość.

— Alboż on nie jest straszny?

— Zależy to od okoliczności. To pewna, że nasz egipski krokodyl ucieka na widok ludzi, zwłaszcza, jeżeli się znajduje na lądzie. W wodzie jest wprawdzie trochę odważniejszy, ale na piasku, choćby nawet na samym brzegu Nilu, dziecko pokona go z łatwością.

— Ale jakimże sposobem się na niego poluje?

— Są różne sposoby — mówił Ibrahim. — Jeden, używany przez murzynów, jest następujący: Bierze się w prawą rękę ostry i mocny nóż, lewą owija się w grubą skórę. Murzyn tak uzbrojony śmiało napada zwierza w wodzie. Podaje mu lewą rękę, którą krokodyl chwyta w swoją paszczę, ale ponieważ język jego przyrośnięty jest w znacznej części do podniebienia, więc nie może pochwyczonego przedmiotu obrócić i przełknąć. Trzyma więc tę rękę w szczękach, i sam nie wie, co z nią zrobić; otwiera paszczę, aby zdobyć wypadła w wodę i dała się pochwycić z innej strony, a tymczasem murzyn prawą ręką wbija mu nóż w niższą część paszczy, która jest bardzo miękka, woda dostaje się do gardła zwierza i dusi go szybko.

— Dobry to sposób dla czarnych mieszkańców Sudanu — rzekł Robert — ale jakże sobie Egipcyanie radzą z krokodylami?

— Jeszcze prostszym sposobem. Egipcyanin bierze do ręki mocny kij, nic więcej, zbliża się ostrożnie do krokodyla i uderza go potężnie po szczękach. Zwykle też od pierwszego razu je gruchoce, bo trzeba wiedzieć, że szczęki te są miękkie, chociaż z taką straszną siłą zaciskają się, gdy zwierza coś w paszczę pochwyci. Krokodyl nie może żyć długo z rostrzaskanymi szczękami i łatwo go już wtedy dobić.

Dokończywszy opowiadania, Ibrahim wstał, a podróżnicy nasi, którzy już dostatecznie wypoczęli,

chętnie się zgodzili towarzyszyć mu do jego mieszkania.

— Mam już od wczoraj jednego europejskiego gościa — rzekł Ibrahim.

— Cóż to za gość? — zapytał Robert z ciekawością.

— Pewien Anglik, sir James Primrose. Przy był on tu naumyślnie z Kairu, aby zapolować na krokodyle.

— I jakże poluje? czy z kijem?

— Tak, na sposób egipski.

Robert nie mógł wyjść z podziwienia.

Dotąd inne zupełnie wyobrażenie miał o krokodylach nilowych, trudno mu więc było uwierzyć, aby ten zwierz osławiony w Europie dał się pokonać uderzeniem kija. Jemu się zdawało, że występując do walki z takim potworem, trzeba było co najmniej być uzbrojonym w potężną siekiere i pistolety nabite kulami.

Ibrahim spostrzegł niedowierzanie w oczach młodzieńca i rzekł z uśmiechem:

— Wkrótce się pan naocznie przekonasz o prawdziwości słów moich, bo za chwilę zapewne spotkamy się z angielskim lordem, który tu niedaleko musi polować.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy usłyszeli tętent kopyt po piaszczystym gruncie.

— Oto właśnie nadjeżdża sir James Primrose — rzekł Egipcyanin.

W rzeczy samej po chwili ukazał się jeździec, pędzący w tę stronę, nie na koniu, ale na osła, na pięknym osle wschodnim, który nie zasługuje wcale na pogardę i szyderstwa, jakich u nas w Europie nie szczędzą temu pocziwemu zwierzęciu. Anglik trzymał w ręku długi kij, i wywijał nim zawzięcie.

— Krokodyl! krokodyl! — zawołał Jakób.

Osobliwszy widok przedstawił się oczom naszych podróżnych. Wielki krokodyl pełzał niezgrabnie przed jeźdźcem, otwierał paszczę i spoglądał tak pożądliwie i żarłocznie, jakgdyby miał ochotę połknąć i osła i człowieka. Sir James Primrose śmiało nacierał na zwierza, i okładał go kijem po szczękach.

Krokodyl widocznie był bardzo osłabiony, ale nie przestawał się bronić i machał ogonem na wszystkie strony, a uderzenie tego potężnego ogona mogło być niebezpieczne dla osła. Anglik jednak tak zręcznie nim kierował, że unikał tej napaści.

Ibrahim zwrócił się do Roberta i rzekł:

— Możebyś pan chciał się wziąć po europejsku do krokodyla? Teraz właśnie dobra pora. Masz pan strzelbę nabitą.

Robert nic nie odpowiedział, tylko wymierzył i strzelił. W téjże samej chwili ozwał się jęk ża-

łosny, jakby małego dziecka, zwierz przewrócił się na piasku a potok krwi czarnej buchnął mu z gardła; krokodyl padł na miejscu, jakby piorunem rażony.

V.

Bliższa znajomość z Anglikiem. — Wieczera. — Piękna noc na Wschodzie. — Karawana. — Wypoczynek. — Strój arabski. — Alep. — Kupiec syryjski. — Przybycie do Kairu. — Opowiadanie Tuarega. — Pierścień. — Stowarzyszenie pięciukroćstusięcy. — Bazar wschodni. — Własności pierścienia. — Powrót do karawany. — Tajemnica. — Odwiedziny. — Dalej w drogę!

Ibrahim zapoznał naszych podróżników z Anglikiem.

— Panie — rzekł do niego — spotkałem tych trzech Francuzów, którzy pieszo idą z Kairu. Teraz prowadzę ich do swojego mieszkania. Po drodze opowiadałem im o polowaniu na krokodyle. Z wielką radością obaczyli zwierza, z którym pan walczyłeś przed chwilą i ten oto młodzieniec, za radą moją, przyszedł panu z pomocą.

Sir James Primrose zsiadł ze swojego wierzchowca i z wielką uprzejmością przywitał trzech podróżników. Uścisnął serdecznie rękę Roberta.

— Serdecznie ci dziękuję, młodzieńcze — rzekł — wyznaję, że byłem w kłopotcie, obrzydła ta jaszczurka wystraszyła mojego wierzchowca i nie wiem, na czemby się to skończyło, gdybyś był się nie wmieszał tak w porę. Nie zapomnę ci téj przysługi i postaram się ją odwdziżyć.

— Ale cóż będzie z tym krokodylem? — zapytał Marek, którego te niezwykle przygody wprawiły w zdumienie.

— Mogłbym go kazać wypchać i odesłać do jakiego gabinetu europejskiego — odrzekł sir Primrose — ale to nie warto. Niech tam sobie leży.

— A toś pan się przysłużył jego przesładowcom — rzekł Ibrahim — oni mu tu prędko śladzą rady, ichneumony i sępy będą miały pyszną ucztę. Ale patrzcie, oto już widać moje mieszkanie.

Mówiąc to wskazywał w oddaleniu starożytne zwaliska, które nazywał pałacem córki Faraona.

— Staniemy tam przed wieczorem — mówił dalej, przyjmiecie u mnie wszyscy skromną wieszczkę i nocleg.

Mieszkanie Ibrahima składało się z kilku izb, niezłe zachowanych wśród starych murów. Jak tylko tam przybyła gromadka podróżnych, gościnnie gospodarz zajął się natychmiast przygotowaniem wieczornego posiłku, przywoławszy do pomocy murzyna, niewolnika swojego.

— Wieczera nie będzie suta — rzekł Ibrahim — ale szczerem sercem ofiarowana.

Wieczera ta podana była obyczajem egipskim

i z samych potraw egipskich złożona. Murzyn rozesał na tarasie stary dywan turecki, i ustawił na nim placek z ryżu, cebule pieczone w popiele, krajanki kawona i naczynia z wodą różnych gatunków.

— Nie wiedzieliście pewnie nigdy takiej zastawy stołu, ani w Paryżu, ani w Londynie — rzekł Ibrahim.

— Co kraj to obyczaj — powiedział sir Primrose. — My w Anglii rzadko kiedy widzimy słońce, dla tego też potrzebujemy posilnych pokarmów, żyjemy się soczystym mięsiwem i mocnymi trunkami. Ale tu, w tym rozkosznym klimacie, ciepło słoneczne starczy za wszystko.

Rozległy widok roztaczał się z tarasu, na którym zasiedli nasi podróżnicy. Miejsce to było tak wyniosłe, że można było ztąd dojrzeć nawet szczyty minaretów Kairu. Całą okolicę widać było jak na dłoni o mil piętnaście dokoła, wszędzie ciągnęły się piaszczyste równiny, a wśród nich ukazywały się piękne oazy, wioski, i gaje palmowe. Noc była jasna, pogodna, niezliczone gwiazdy migotały na niebie. My w naszym północnym klimacie nie mamy wyobrażenia o piękności nocy na Wschodzie. Tam sklepienie niebios jaśnieje blaskiem nieporównanym, gwiazdy goreją, płoną, a promienie ich łagodnym światłem spływają na ziemię. Cudna jest noc na Wschodzie.

(D. c. n.)

Zadanie konikowe.

ser	ka	pra	już	ży	dna	dzie	rój
ca	nie	je	rę	ję	nie	sną	wi
bo	ce	O	prze	drze	dzie	któ	na
roz	cno	wy	wszę	kne	stwo	dzie	wio
mło	za	są	jak	ście	wa	i	dę
ta	wie	de	oj	rza	pię	tki	wszę
du	ca	da	pie	kwia	ce	bo	łość
je	czer	sza	ser	swo	mi	tki	ma

S Z A R A D A (Rózia D).

Pierwsze spółnikiem, a zaimkiem drugie,
Wszystko wraz imię, piękne i nie długie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady:

Kra — siń — ski.

Łamigłówki głoskowej:

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Heluni B. w Warszawie. Rozwiązanie łamigłówki trafne i tak ładnie, kaligraficznie napisane, że radziłyśmy bardzo otrzymać dłuższy liścik tą wprawną rączką skreślony; trzy wierszyki, to za mało, a do rozmiarów liściku i odpowiedź stosować się musi.

Morysiowi K. w Warszawie. Za przysłaną łamigłówkę dziękujemy; jest bardzo dobrze ułożona i zamieścimy ją niezadługo. Rozwiązanie naszej łamigłówki trafne.

Ludce S. w Wilnie. Tak rozsądne zdanie o tem, co się w Pisemku naszym drukuje, dowodzi, że kochana korespondentka czyta je z wielką uwagą od deski do deski, co nas niezmiernie cieszy. Zawsze prosimy czytelników naszych, aby nam donosili, co im się najlepiej podoba z powiastek i innych rzeczy, które im podajemy. Ale doszło do naszej wiadomości, że niektórzy z nich (mamy nadzieję, że niewielu) czytują tylko to, co najzabawniejsze, a czasem w powiastkach nawet szukają odrazu kilku wierszy przy samym końcu, byle sens zrozumieć; a już, co do poważniejszych artykułów, tych nigdy nie przeglądają uważniej i znają tylko z tytułów. A jednak często taki artykuł, który wydaje się nudny, sądząc z tytułu, w czytaniu okaże się zajmujący. I to także wiemy od naszych czytelników, którzy nam o swoich różnych wrażeniach otwarcie opowiadają. Bardzo im za to jesteśmy wdzięczni, ale większą jeszcze przyjemność sprawiają nam liściki takich kochanych korespondentów, którzy odrazu wszystko czytają i to z takim zapalem.

Wiktusi R. w Wojczanach. Spostrzegliśmy to i sami, że z takiego rozkładu Dodatków ani starsi, ani młodsi czytelnicy nie są zadowoleni; dla tego też chcemy od Nowego Roku zadowolnić wszystkich. Już ani jedni, ani drudzy nie będą czekać po dwa tygodnie na dalszy ciąg, a tymczasem troszkę cierpliwości, do Nowego Roku niedaleko.

Panu J. Wirskiemu w Nowo Uszycy. Rubel 1 wraz z listem oddany, według życzenia, do księgarni, dawniej p. Kowalskiego, a dziś p. Pollaka.